

Tumor Mózgowicz

Dramat w trzech aktach z prologiem

1920

poświęcone

Pani Zofii i Tadeuszowi Żeleńskim

WSTĘP TEORETYCZNY

Jest faktem nieraz stwierdzonym, że teatr powstał z religijnych misterii. Tak było w starożytnej Grecji i procesowi powstania greckiej tragedii odpowiadają początki nowożytnego teatru na przełomie wieków średnich. Niekoniecznie jednak wrażenie artystyczne musi być związane z wyrazem uczuć religijnych jako takich. Może ono być wynikiem kontemplacji samej formy, niezależnie od tego, czy treść życiowa danego dzieła będzie miała bezpośredni związek z metafizycznymi przeżyciami, czy nie. Teatr, wskutek tego, że elementami jego są działania istot żywych, stracił powoli charakter religijny, a treść istotna, formalna, zredukowana została do środka pomocniczego w celu symbolicznego lub realnego spotęgowanego przedstawienia życia i związanych z nim problemów.

Istotą sztuki w ogóle jest bezpośrednio dana jedność osobowości, czyli to, co nazywamy uczuciem metafizycznym, wyrażona w konstrukcji jakichkolwiek elementów, a więc: barw, dźwięków, słów lub działań. Malarstwo i muzyka posiadają elementy jednorodne. Poezja, oprócz wartości dźwiękowych i możliwości wywoływania obrazów wzrokowych, operuje jeszcze pojęciami, których znaczenia są według nas równie dobrym materiałem artystycznym jak każda czysta jakość. W teatrze dołączają się do tego jeszcze działania, jakichkolwiek zresztą, istnień poszczególnych. Poezja więc i teatr są w przeciwieństwie do sztuk prostych: malarstwa i muzyki, sztukami złożonymi. Każde dzieło sztuki malarskiej posiada oprócz czysto formalnych wartości: kompozycji, harmonii barw i ujęcia formy, treść przedmiotową, która pochodzi z tego, że uczucie metafizyczne, ogólnie jedno i to samo u wszystkich istnień poszczególnych, polaryzuje się w psychice danego osobnika, stwarzając sobie indywidualną formę, tym bardziej oderwaną, jako czysta konstrukcja, im więcej skondensowaną jest osobistość stwarzającego ją indywidualium. W istocie artystycznej twórczości tkwi więc pewna immanentna sprzeczność.

Tym, czym świat przedmiotów i wyobrażeń jest w malarstwie, tym jest świat uczuć w muzyce i tym samym jest sfera sensu pojęciowego w poezji i sensu działań w teatrze. Jeśli uznamy treść formalną, tzn. konstrukcję samą dla siebie, dzieła sztuki za jego istotę, nie powinny nas już obchodzić nieistotne, a tym niemniej konieczne elementy samego procesu tworzenia, mające tylko związek pośredni z dziełem już dokonanym. W tym oświetleniu deformacja świata zewnętrznego w malarstwie, nietrzymanie się logiki uczuć w muzyce, bezsens życiowy i logiczny w poezji i na scenie - nie powinny nas oburzać. Przełamanie pewnych nieistotnych narowów dotyczących życiowej strony dzieł sztuki roztwiera według nas zupełnie nowe horyzonty formalnych możliwości, związanych przeważnie z kwestią kompozycji. Pewna fantastyczność psychologii i działań w przeciwieństwie do fantastyczności zewnętrznej: smoków, czarownic itp. stworów, odpowiadająca deformowaniu świata zewnętrznego, jest tym, co może dać nowe możliwości formalne w teatrze. Oczywiście, dążenia tego rodzaju muszą być istotne, tzn. nieprogramowe. Programowe wykrzywianie kształtów normalnych, programowy bezsens w poezji czy w teatrze jest zjawiskiem niezmiernie smutnym. Deformacja dla deformacji, bezsens dla bezsensu, nieusprawiedliwiony w wymiarach czysto formalnych, jest czymś godnym najsroźszego potępienia. Czy pewne dewiacje od utartego szablonu w sztukach niniejszych usprawiedliwiają się w ten sposób, jest kwestią eksperymentu. Teoretycznie jest to możliwe i przypuszczamy, że jeśli nie te sztuki, to inne, innych autorów może, udowodnią kiedyś słuszność tych twierdzeń.

Oczywiście dla jednych może się to wydać śmiesznym, innych może oburzyć. O ile ktokolwiek

zabawi się przy tym szczerze, w zupełnie nieistotny według nas sposób, będziemy się tylko cieszyć ze względu na rzadkość śmiechu w naszych ponurych czasach. O ile ktoś się oburzy w głębi duszy bez zbyt silnych manifestacji zewnętrznych - trudno - wszystkich zadowolić jest absolutną niemożliwością. Coraz mniej jednak jest ludzi, którzy pękają ze śmiechu na widok kwadratowych łydek Picassa lub zatykają z oburzeniem uszy słuchając baletu Strawińskiego. Przypuszczamy w zasadzie, nie przesądając bynajmniej wartości formalnej sztuk niniejszych, że do czysto zewnętrznej, z życiowego punktu widzenia może groteskowej i potwornawej „treści”, można się przy dobrej woli zupełnie dobrze przystosować.

Jeszcze jedno: oprócz kwestii erotycznych treścią sztuk są pewne fantazje na temat przewrotu w matematyce i fizyce w *Tumorze Mózgowiczu*, na temat psychiatrii w *Pentemychos*. Przeżycia bandy zdegenerowanych byłych ludzi, na tle mechanizującego się życia, stanowią treść *Macieja Korbowy*. Filozoficzne dywagacje i problemy związane z absolutnym nienasyceniem życiowym są wplatane w *Multiflakopulu*, w *Pragmatystach*, drukowanych, niestety bez korekty, w trzecim zeszycie „Zdroju” z r. 1920, w *Nowym Wyzwoleniu*, w *Bziku tropikalnym* (napisanym na wspólnie z panią Eugenią Borkowską), dalej w sztukach pt. *ONI, Miętoszq, czyli W sidłach BEZTROSKI, Filozofowie i Cierpiętnicy, czyli Ladaczyni z Ekbatany, W małym dworku, Niepodległość trójkątów, Straszliwy wychowawca i Metafizyka dwugłowego cielęcia*.

Fantazjami na temat matematyki i psychiatrii nie chcielibyśmy obrazić ani jednych, ani drugich uczonych, podobnie jak poglądami na tzw. „miłość”, kwestie społeczne i nadnaturalne zjawiska nie chcielibyśmy obrazić erotomanów, społeczników i spirytystów. Są to tylko preteksty dla pewnych kombinacji formalnych. Używając terminu analogicznego do pojęcia „napięcia kierunkowego”, wprowadzonego przez nas do teorii malarstwa, chodzi o nadanie pewnym masom wypadków w czasie pewnego „napięcia dynamicznego”. To jest znaczenie formalne tzw. „treści” poematów i sztuk teatralnych. Zaznaczamy, że „poglądom” wypowiedzianym przez osobistości w sztukach tych nie przypisujemy żadnego obiektywnego znaczenia.

PRZEDMOWA

Nie zaszkodzi, ale też niewiele pomoże parę słów przedmowy. *Tumor Mózgowicz* powstał, jak to z samej nazwy dramatu w sposób oczywisty wynika, z tumoru na mózgu. Pierwsza lepsza patologia mózgu lub rozmowa z uczciwym lekarzem da o kwestii tumorów należyte wyjaśnienie.

Nazwiska pochodzą z fantazji, z życia i z dzieł innych autorów. Fantazje na temat współczesnego przewrotu w fizyce i matematyce nie powinny obrażać uczonych, są one tylko pretekstem dla pewnych „napięć dynamicznych”. Co do literatury użytej przy pisaniu można z czystym sumieniem wyliczyć dzieła następujące:

Trzy pomarańczowe popularne dzieła H. Poincarego.

Allgemeine Theorie der unendlichen Mengen Arthura Schoenfliessa.

Zasada *sprzeczności* w świetle nowszych badań Bertranda Russella dra Leona Chwistka.

Juliusz Cezar Williama Shakespeare'a.

Allmayer's Folly Josepha Conrada.

Nietota >Tadeusza Micińskiego.

W mroku *gwiazd* tegoż autora.

Własne dzieła pośmiertne treści filozoficznej i własne eksploracje (już nie dzieła) w tropikalnych i subtropikalnych okolicach.

Bliższe wyjaśnienia teoretyczne co do istoty sztuki teatralnej w ogóle patrz (uważnie): *Wstęp do teorii Czystej Formy w teatrze* przez samego autora w „Skamandrze”.

S. I. W.

23 lutego 1920 r.

OSOBY

Tumor Mózgowicz - matematyk bardzo sławny, niskiego pochodzenia. Lat 40.

ROZHULANTYNA Bazylówna, z książąt Baar-Lukowiczów Zakaspijskich. Primo voto: Romanowa hrabina Krzeczberska, secundo voto: Tumorowa Mózgowiczowa. Lat 36.

On - olbrzym zbudowany jak tur. Bawole czoło ze spadającą blond grzywą zmierzwionych włosów. Wspaniale ubrany. W klapie czerwona wstążeczka. Przez gors widać lentę zieloną jakiegoś wschodniego orderu. Garnitur szary, z najlepszego kortu, i żółte półbutyki. Oczy niebieskie, jasne. Krótko przystrzyżony płowy wąs. Zresztą ogolony.

Ona - wspaniale rozwinięta bruneta z meszkiem. Czarne płomieniste oczy. Trochę wschodnia. Wściekle rasowa i ponętna.

Balantyna Fermor - panna. (Right Honorable Miss Fermor.) Córka Henryka Fermor, VI Earla of Ballantrae. Lat 32. Piękna, majestatyczna blondynka; zdrowa, rasowa i bardzo ponętna.

Profesor Alfred Green z M.C.G.O. (Em. Si. Dzi. Eu., Mathematical Central and General Office.) Blondyn w binoklach. Typ bardzo angielski. Lat 42. Wygolony zupełnie.

Józef Mózgowicz - chytry chłop, lat 75. Czerstwy jak rzepa. Nic niepodobny do Tumora. (Tumor jest podobny do matki.) Sukmana, długie lakierowane buty. Brunet siwawy. Orli nos.

Ibissa (Izia) hrabianka Krzeczberska - córka Rozhulantyny i Romana Krzeczberskiego. Lat 18. Ruda, oczy niebieskie. Bardzo rasowa i wściekle wprost ponętna, demoniczna dziewczynka. Podobna jak dwie krople wody do ojca.

Alfred Mózgowicz - lat 16. Syn pierworodny Tumora z trzeciego małżeństwa jego z Rozhulantyną. Wykapany ojciec. Ubrany w kostium sportowy, szaroróżowy.

Maurycy Mózgowicz - lat 14. Następny numer w kolekcji młodych Mózgowiczów. Bardzo podobny do matki. Ubrany w kostium sportowy szarobury. Kołnierz wykładany. Malinowy krawat La Valiere.

Irena Mózgowiczówna - lat 23. Córka Tumora z drugiego małżeństwa. Nieładna, bardzo inteligentna brunetka o trochę semickim typie.

Lord Arthur Persville - czwarty syn księcia Osmond (przyszły Duke of Osmond, Marquis of Broken Hill, Viscount of Durisdeer, Master of Takoomba-Falls), największy demon z Central and General Mathematical Office i największy z bezkarnych zbrodniarzy: tak zwany „King of Hells”, król piekieł i szulerni - (amfibologia liczby mnogiej od Hell). Lat 33. Najtęższy geometra na kuli ziemskiej. Uczeń Hilberta. Król mody. Ubrany w kostium żakietowy i cylinder, laska w ręku. Twarz młodzieńcza niezwyklej piękności. Ogolony, oczy czarne. Silny brunet, coś między prawdziwym lordem a typem z karnych kolonii. Ruchy wytworne. Oczy nigdy się nie śmieją, podczas gdy prześlicznie zarysowane pełne usta, osadzone w delikatnych, lecz potwornej siły szczękach, mają uśmiech trzyletniej dziewczynki. Poza tym jest to człowiek (o ile człowiekiem nazwać go można) wzbudzający najpiekielniejszą zazdrość i zawiść na całym globie.

Książę Tengah - Malaj bardzo piękny, syn Radży Timoru, Patakula. Lat 23. Błękitny turban, czerwony sarong. Kriss u boku.

Stary Radża Patakulo - stary Malaj z siwą brodą, lat 60. Przepaska na biodrach.

Kapitan Fitz-Gerald - wygolony wilk morski. Komendant krążownika „Prince Arthur”.

Malaje ze straży - ubrani jak Tengah, z lancami.

Dwaj inni - w czerwonych turbanach z lancami.

Tum Malajów.

Dwu białych ludzi - w khakowych ubraniach i hełmach.

Sześciu ludzi z załogi krążownika. Ubrani biało po marynarSKU.

Dwaj agenci Greena - bezosobowe istoty.

Czterech tragarzy - w niebieskich fartuchach. Zupełnie bezosobowe postacie z brodami.

Izydor Mózgowicz - w pieluchach.

PROLOG

Żywych jaszczurów napiętnowane mordy

Gęgają w rudą przestrzeń bezimiennej planety.

Pokarbowane w mękę nadistnień,

Poząbkowane w niemowlęce fałdki,

Pofałdowane w starcze uzębienia,

Żywych morderców żałobne sztylety,

Obrzmiałych serc pożądaniem gnane,

Dobiegają do tamtej mety:

Do węzłowego punktu hyperbolicznej komety.

W starczych uzębieniach klawikordy

Pcham słowa zmiążdżone, rozkwaszone żarem.

Padło potwora, utłuczone na rozstaju,

Wyżera pępek sobie i małym ptaszkom świdruje otwory w tęczowych skrzydełkach.

Znam to dobrze.

I tak dobrze jest.

Widma na przełęczach świata gest

Uśmierza mękę zidiociałych tłumów.

Młodziutki wabią się wieszczce

Wśród krzewów pachnących i cienistych tumów,

Ona (kto?) woła za ścianą: jeszcze!!

Na bezpowrotnej, śmiertelnej lubieży.

Tłukąc ciało o kości z wywróconą wstecz szczęką,

Zęby płomienne spoza węglów szczerzy

I dłubiąc pelikana dzióbkiem,

W jaskini, którą opanowały ich cienie,

Tych tłumów cienie, spatroszonych nadbydłecą męką,

Rozpiera wodną otchłań fajansowym kubkiem.

Ja wiem, że kłamię i że nad śmiech konstrukcja prawdy tylko wyższa,

Babilonową, skręconą wieżę wżera się w ciemności. Babel, Jezabel i angielska Mabel,

Co czyta Biblię na mdłym podwieczorku,

Gdy naszej gwiazdy grzmiąca fotosfera

Parska wybuchem płonącego gazu.

Wodór się pali i Helium powiewa.

Oświeśla przestrzeń pośredniego mroku.

Wieczór i świt przemierza starzec bez brody

I na przełęczach ostatecznych pojęć

Manometr świata na Nicość nastawia.

Być nim czy też pozostać sobą,

W metabydłecym, rokokowym stroju,

I gzić się dalej na gwarnych pastwiskach.

Oto problemat godny kłamstw Cezara.

Zużyte zęby miamlą jeszcze pokarm

Przeżuty dawno przez podwójny worek,

Którym się szczyli dumna Pasifae.

Elektron niańczy w magnetycznym polu
Ślepy wzrok widma wstrzymany w swej drodze.
Względność przestrzeni wszystkie linie zgina,
A ślepiec liże bezbarwne przedmioty.
Duch jak iza czysty bezjakościowym rzyga wciąż fluidem...
Ludzkość, bóstw dawnych obmierzła maszyna,
Nad dawnym Tybrem spiętrza żądź wymioty,
W tygrysie fałdy, w pylniki kąkolu.
(Marabut stoi gdzieś na jednej nodze.)
Zużyte wszystko, słów miazga nie cieknie
I nie spowija grozy dawnych diabłów.
Oni się korzą przed wyplutą pestką,
Tybald się boi Kainów i Ablów.
W uściskach stonóg zaklęta pantera,
Jej centki świecą różowe i dumne.
Przez trawę pełźnie cudowna hetera,
Miażdżąc swym brzuchem słowa zbyt rozumne.
Uchyl zasłony, bo na scenę wchodzi,
Z tumorem w mózgu, sam Tumor Mózgowicz.
Co nas to wszystko właściwie obchodzi?
Zmacerowany - cepem - spacerowicz.

AKT PIERWSZY

SCENA PIERWSZA

Pokój dziecienny na piętrze domu Rozhulantyny. Tumor Mózgowicz siedzi sam w fotelu. Na dywanie mnóstwo zabawek dzieciennych. Olbrzymia butla benzyny stoi w rogu na prawo. Urządzenie pokoju jest szczytem nowoczesnej higieny. Wszystko białe jak śnieg. Słońce wpada przez duże okna na lewo i na prawo. Jasno jest i ciepło. W głębi czarna tablica do zadań. Na lewo od niej drzwi wprost widowni. Drugie drzwi na lewo.

MÓZGOWICZ

Rypię całą parą. Bary biorą się z sobą za bary, wrastają w siebie i w pryskach ognia strząsają pyłki w zaświatowej burzy. Przeklęta kultura! (*wali pięścią w poręcz*) Kto każe mi udawać? Czytałem wczoraj cały ich nowy program. Po prostu rzygać się chce. Vomito negro.

Wchodzi Izia. Czarna, krótka sukienka. Ażurowe pończochy. Pantofelki z czerwonymi pomponami.

IZIA

Mama pyta, czy panu czego nie potrzeba.

MÓZGOWICZ

Trzeba mi byka, rydwanu, bezbrzeżnych pól i twoich niebieskich oczu, Izium. Powiedz mamie, że jest jak Pasifae. Zzielenieje z zazdrości. A tak okropnie jest skomplikowana, że chyba pękne w tym całym wirze, który wytwarzacie.

IZIA

Niech pan się uspokoi. Ja wiem wiele - o wiele więcej niż mama i pan nawet.

Wychodzi. Mózgowicz wstaje i nakręca zegarek.

MÓZGOWICZ

Przeklęta kultura. Nie ma we mnie ani krzty artysty, ani tyle! (*pokazuje to na palcu*) jednak wmawiają mi to wszyscy: ach, co za talent! ach, co za geniusz! Gdyby choć ona jedna mogła tego nie myśleć. Wszystkie moje dzieci są tak podobne do mnie, że to mnie wprosi przeraża, że nie

znalazła się kobieta, która by miała siłę zdradzić mnie.

Wchodzi ojciec Mózgowicza w sukmanie i w długich butach.

JÓZEF MÓZGOWICZ *stary, ale rzeźwy jeszcze chłop; barczysty jak syn; mówi z chłopskim biadkaniem*

Jesteś niewyciężony, syneczku.

MÓZGOWICZ

Papa zawsze pełen jest conceptów. Taki stary, a taki głupi, *(deklamuje)*

Dnem mojej duszy
Jest pierwotna mściwość,
A moim herbem Jest soczysta larwa.
Zdębiałych koni lawiny
I oficerów zasmucone miny,
Nad losem dawno, dawno zagasłych kurtyzan.

(mówi) Oprócz tego, że jestem sobą, mógłbym być: kelnerem, oficerem albo kurtyzaną. Gdybym był kobietą, straszliwą byłbym rozpustnicą.

JÓZEF MÓZGOWICZ

Jakież przepiękny jesteś, syneczku. *(podnosi z ziemi lalkę i całuje ją)* Taka była moja maleńka, kiedy umarła. Taka była twoja siostrzyczka, Anzelma.

MÓZGOWICZ *deklamuje*

Robaki wkręcają się w oczy
W ciemnej, rozmięklej przeźroczy.
Jak nożem ostrym
Chciałbym przeciąć sobą
Zazdrosną o szybkość przestrzeń.
Ważę ciężary, o jakich nie myślał
Zaden Cezar świata,
A wszystko ulata jak wata.
I lekkie mi jest wszystko jak pajęczy puszek,
Jak jakiś mały, niepozorny duszek,
Z innej planety zaduszek.
Napudrowałem twarz moją wielkością
I kukła jestem ohydna.
Takiego wstrętu do siebie jak ja
Nie miał nikt od światów początku.

JÓZEF MÓZGOWICZ *staniając się*

Ach, jakież śliczny jesteś, syneczku! Chodź, pójdziemy do karczmy.

MÓZGOWICZ *z rozpaczą*

Ach! Idź ojciec sam. Dziś jeszcze mam napisać statut nowej Akademii Nauk. A tu jeszcze przysłali mi tylko co korektę pracy o funkcjach nadskończonych. Ale ojciec to nawet algebry nie zna. Rzucaj groch o ścianę.

Daje ojcu papier, który wyciągnął z kieszeni.

JÓZEF MÓZGOWICZ *wkłada okulary i czyta*

„Uber transfinite Funktionen im alef - dimensionalen Raume, Professor Tumor von Mózgowicz.”
(mówi) O, jakże mądrym jesteś, syneczku! I tylko za to tak cię uszlachcili. *(z żalem)* Miałem sen.

Widziałem ciebie jako bóstwo w jakiejś świątyni wschodniej. Nie poznałeś mnie i śmiałeś się z czegoś niewiadomego. A mnie wyrzucił stróż, taki mały, stary i słaby jak mucha. A twarz miał taką jak nasz Burek, tylko ludzką.

MÓZGOWICZ *chowając korektę do kieszeni*

Na nic nigdy nie miałem czasu, nawet na miłość. Lecz czymże jest miłość dla mnie? Dzieci moje rosną. Syn niedługo zda maturę, córka już wcale nieźle całkuje równania różniczkowe, a ja nie mogę nawet odpocząć. Gdybym choć był religijnym. „Aber mir, keine Marter ist erspart”, jak mówił Franz Józef.

Józef Mózgowicz kiwa głową i zabiera się do wyjścia. We drzwiach spotyka się z Rozhulantyną ubraną w jasnozielony balachon.

ROZHULANTYNA

Mówiłam, Józefie, żebyście się szanowali. A on znowu chodzi!

JÓZEF MÓZGOWICZ

E - niechże już ta ostatnia para wyjdzie ze ranie w ludzkim towarzystwie. A jaśnie pani zdrowa?

ROZHULANTYNA

Jak byk parowy. *(Śmieje się. Józef wychodzi. Rozhulantyna smutnieje gwałtownie i zbliża się do Mózgowicza)* Co ci jest? Tumor! Ty mnie nie kochasz?

MÓZGOWICZ *podnosi lalkę i ogląda ją*

Wiesz przecież wszystko. Jestem cham, ostatnie bydlę. Pamiętam i nie mogę zapomnieć. Rozwaliłem ci cały kredens i musiałaś się wstydić za mnie przed nimi. Ale nie upić się nie mogłem.

ROZHULANTYNA

Nie myśl o tym. Już wszystko naprawione. Chciałabym móc co miesiąc rodzić, żeby takich jak ty było więcej. Jakąś wyspę na Oceanie Spokojnym chciałabym mieć i żebyś ty tam był i tylko nasze dzieci. Wszystko takie chłopy morowe jak ty, wszystko matematyki jeden w drugiego. W środku byłaby Akademia i ty jeden, pan wszystkich słońc, król liczb, księżę Nieskończoności, szach świata absolutnych idei, rozparty w całym wszechświecie jak w fotelu, siedziałbyś potężny jak...

MÓZGOWICZ

Przestań - dławię się moją potęgą jak pigułką zbyt wielką dla paszczy wieloryba.

ROZHULANTYNA

Nie kochasz mnie. Chcesz, żeby Izydor przyszedł na świat z krzywymi nogami i z oczami na skroniach?

MÓZGOWICZ *gwałtownie obejmując ją*

Nie, nie! Nie mów tak. Kocham cię, strasznie cię kocham *(nagle flaczeje)*. Tylko nie mogę zapomnieć, że jesteś księżniczką. Jest w tym cos absolutnego. Dość spojrzeć na twoją nogę. *(ROZHULANTYNA ogląda nogi, po czym patrzy na niego badawczo.)* Gdyby ojciec twój, książę Bazyli, mógł cię widzieć w objęciach takiego chama, umarłby ze wstydu po raz drugi. Mówię ci: jest w tym coś absolutnego, w całej kwestii rasy. Cóż mi pomoże cała wiedza? *(ciska korektą o ścianę)* Nie mogę się urodzić po raz drugi.

ROZHULANTYNA *obejmując go*

Mój jedyny, mój Tumorku najukochańszy - że też ty tego nie rozumiesz. Właśnie w tym jest wszystko, cały urok piekielny. Dlatego opuściłam Krzeczberskiego. Nie cierpię tych demi-aristos. Przeklęte snoby. Jesteś potwornym chamem i jak czuję moją krew, piekielnego zaiste błękitu, jak

łączy się z twoją purpurową, chamską juchą, jak tworzymy razem tę rasę fioletowych półbogów, jak myślę o tym, to chce mi się rozprysnąć ze szczęścia w jakąś magmę nie z tego świata. (*Twarz Mózgowicza rozjaśnia się w dzikim tryumfie. Wchodzi Alfred Mózgowie z.*) Patrz! Oto on, mój fetysz. Fred - chodź, niech cię uściskam..

MÓZGOWICZ *do Alfreda*

Czy rozwiązałeś zadania?

ALFRED *całując matkę mówi cichym głosem*

Tak jest, papusiu. Utrudniłem sobie problemat metodą Whiteheada. Ten potworny starzec umie z najprostszego zagadnienia uczynić coś dowolnie trudnego.

MÓZGOWICZ

Szanuj tego mędrca. Pamiętaj, że byłem jego uczniem.

ROZHULANTYNA *patrząc na nich z zachwytem*

Ja chyba nie przeżyję tego szczęścia. Och czemuż, czemuż nie mogę być króliczycą!

MÓZGOWICZ *ponuro*

Pamiętaj o białej króliczycy, która do śmierci rodziła marengowate koty. Raz jeden tylko zdradziła swego białego męża. Alfred zanadto mi przypomina Krzeczberskiego.

ROZHULANTYNA *śmieje się, gładząc Mózgowicza po głowie*

Biedna mózgownica! Liczby wyjadły ci całą szarą materię, Tumorze!

MÓZGOWICZ *ryczy*

Proszę nie żartować z mego nazwiska! Jest dosyć znane na całym świecie.

Tupie nogami i przewraca oczami w dzikim szale. Alfred podchodzi do tablicy i zaczyna pisać na niej kredą. Widać olbrzymie całki i zawile symbole. Rozhulantyna klęka i zaczyna budować coś z klocków. Mózgowicz stoi na miejscu. Uspokaja się i zamyśla się głęboko. Wbiega Izia i młodszy Mózgowicz: Maurycy.

MAURYCY *arystokratycznie wymawiając wyrazy i silnie grasejując*

Bo papuś to pisze wiersze tylko dla równowagi ducha, jak mu liczby już wszystkimi porami przenikają do duszy. Izia jest poetką naprawdę. Wydrukowali jej wierszyk w naszej dziecinnej futurystycznej gazetce. Izium, zadeklamuj.

IZIA *deklamuje*

Był mały zarodek w cienistej oddali,
Ktoś trącił przypadkiem, ktoś spojrzął ukradkiem
I śliczna wyszła dziecina.
Najprzód ochrzcili, potem nazwali,
Nazwali ją Ylajali.
Był mały koteczek, zielony kłębeczek
Zjadł na śniadanie w oddali.
Ktoś trącił ukradkiem, ktoś spojrzął przypadkiem,
Potem okropnie płakali.
W dziecinnej książeczce, w dziewczęcej teczce
Powstała nowa rycina.
W cienistej oddali ktoś ujrzał przypadkiem,
Jak kotka pożarła Ylajali.
Czy to się śniło, czy też tak było
Na próżno by zgadywali.

Czy to rycina sama powstała,
Czy sen się zbudził z rysunku,
Nie zgadłby nawet zielony kłębuszek.
Nie zgadła nawet Ylajali.

MÓZGOWICZ *ponuro, krótko*

Za dużo sensu.

ALFRED *odchodząc od tablicy*

To wszystko na nic. Ojciec jest zdrajca. Ojciec kocha się w Izi. Mama o tym płacze po nocach. Ja nie chcę.

MÓZGOWICZ *krzyczy*

Czyś ty oszalał!

MAURYCY *wskazując na ojca*

Tak, ja wiem. To on chodzi po nocach i wyje. On jest wariat.

Rozhulantyna zrywa się..

ROZHULANTYNA

Tumorze!

IZIA *klaszcząc w dłonie z zachwytu i podskakuje*

Oberwała się lawina.

MÓZGOWICZ *odchodząc od zmysłów*

Wścieknę się! Jak oni śmia!

ALFRED

Zupełnie zwykła historia. Jutro będzie w gazetach mały artykułek pt. „Zdemaskowanie oszusta”.

ROZHULANTYNA *wybuchając nagłym śmiechem*

Rozkręca się stara mózgowica, rozkręca!

MÓZGOWICZ *z żalem*

Tak było dobrze i tak się wszystko popsuło, *(do Izi)* To ty, arystokratyczny demonku! Zawsze mówiłem, żeby wytepić Krzeczberskich, że inaczej nie damy rady.

ROZHULANTYNA *do dzieci*

Cicho! Uspokójcie się. Jeszcze czas jest wszystko odwrócić. *(groźnie do Alfreda, hipnotyzując go)* Tego wcale nie było! Rozumiesz? *(Środkowymi drzwiami wchodzi Józef z jakimś nieznanym panem w binoklach.)* Za późno!

IZIA

Dzień dobry, Józefie. Kogóż to przywlekliście ze sobą?

JÓZEF

Ano, szukał Jaśnie Pani. Mówi, powiada, że jest gość pierwszej klasy.

NIEZNAJOMY

Jestem zaiste gościem i zdaje się, że w porę przybywam.

Alfred podchodzi do Nieznajomego.

ALFRED *do Nieznajomego*

Nie waż się pan wtrącać do spraw naszych prywatnych.

ROZHULANTYNA *niespokojnie*

Dzieci, cicho! To jest tylko moja sprawa prywatna. Tak się boję o Izydora. Wyjdźcie wszyscy. Muszę zostać z nim sama.

MÓZGOWICZ *ponuro*

Z kim? z Izydorem? *(do Izi)* Mówiłem, że za dużo jest sensu w tym wszystkim.

Wychodzi na lewo.

Maurycy i Alfred chcą go zatrzymać. On im się wrywa i ucieka.

NIEZNAJOMY

Jeszcze chwila, a będzie za późno. Wynałazłem ratunek ostateczny.

MAURYCY

Nie wierzę panu. My już wszystko to przeszliśmy. My się kręcimy w miejscu aż do zupełnego zawrotu głowy. My już nie możemy więcej.

ALFRED

Tak! to są wszystko maski dla nich, dla członków Akademii, ale z nami jest bardzo źle.

IZIA *pada na kolana przed matką*

Oddal tego pana. Mamusiu, oddal go!

ROZHULANTYNA *stanowczo i łagodnie*

Nie, Iziu. Teraz się musimy zdecydować. Przemawia przez ciebie zepsuta krew Krzeczboreskich.

NIEZNAJOMY *twardo, do Rozhulantyny*

Musisz pani wybierać między nim a córką. Cały wszechświat w was tylko jest wpatrzony. On nie może zmieniać obowiązującej matematyki tylko dla fantazji tej dzierlatki. On może wszystko. Ja znam już ten dowód, którym on przekona nawet samego Whiteheada. Wszystko zaczęło się od alefów: gdzie wchodzi w grę aktualna nieskończoność, tam jego wszechmoc jest pełna. Ale dla całej kultury, w imieniu wszystkich dotychczasowych ideałów ludzkości, musimy to powstrzymać.

ALFRED *zaczyna się orientować*

Moryc, stań w drzwiach.

Maurycy staje w drzwiach środkowych. Rozhulantyna nie wie, co robić. Widać w jej ruchach i twarzy potworną walkę ze sobą.

ROZHULANTYNA *krzyczy z nagłą decyzją*

Tumorze! Ratunku!

NIEZNAJOMY *wyjmuje kartę z pugilaesu*

To nic nie pomoże. Jestem profesor Green z Em. Si. Dzi. Eu., z Mathematical Central and General Office. Green, Alfred Green.

Izia jednym ruchem jest przy drzwiach. Rozhulantyna pada zemdlona, krzycząc: „Green”. Moryc łapie Izię, Alfred szepce coś na ucho Greenowi.

GREEN *głośno*

Tam są moi agenci. *(Izia wrywa się Maurycemu i rzuca się do drzwi. Wpada dwóch agentów, którzy łapią Izię. Józef cały czas pęka ze śmiechu, zanosząc się jednocześnie starczym flegmiastym kaszlem, teraz aż zapiał z zachwytu. Na to wpada z lewej strony Tumor Mózgowicz i staje jak wryty. Green krzyczy do agentów)* Na automobil z nią i jazda na piątą szybkość! *(Agenci z szaloną*

szybkością okręcają głowę Izi czerwoną chustką i wybiegają, trzymając Izię na rękach, przez drzwi środkowe. Tumor przeskakuje przez leżącą Rozhulantynę i rzuca się do drzwi. Zastępuje mu drogę Green. Green groźnie, ale z uszanowaniem) Panie profesorze! Ani kroku dalej.

Alfred i Maurycy z dwóch stron podchodzą do ojca, czając się jak koty.

JÓZEF krzyczy, szczując ich

Pyf!!!

Obaj chłopcy rzucają się na ojca, starając się skrępować mu ręce w tył. Green rzuca się z przodu, chwytając go za gardło i stara się zatrzymać. Nieruchoma i niema scena, jak Ursus z bykiem w „Quo vadis” Sienkiewicza. Trwa to bardzo długo. Milczenie przerywane sapaniem zmagających się. Józef decyduje się i jak drapieżny sęp bez skrzydeł podpełza do Mózgowicza, łapie go za nogi w kolanach i powala na ziemię. Wszyscy w milczeniu krępują Mózgowicza chustkami, łańcuszkami od zegarków. Green liną, którą miał przygotowaną. Mózgowicz ryczy krótko, po czym bezwolnie poddaje się. Mózgowicz leży skrępowany. Wszyscy siedzą na ziemi, dysząc ciężko

GREEN spokojnie

Spełniłem mój obowiązek.

JÓZEF z politowaniem

Widzisz, syneczku, na co ci przyszło. A mówiłem zawsze: nie przeciągaj nitki, bo pęknie.

ALFRED wstając

Nie była to nitka, lecz gumka.

MAURYCY *b. arystokratycznie*

Mam wrażenie, że papusiowi nieskończoność paruje ze wszystkich włosów.

Zbliża się do matki. Rozhulantyna budzi się z omdlenia.

ROZHULANTYNA

To jest sen jakiś okropny.

Green wstaje i patrzy na zegarek.

MÓZGOWICZ *leżąc bez ruchu*

Któż zwycięży moją myśl ostatnią? Jestem niezwyciężony. Możecie mnie uwięzić. Będę milczał, tylko zostawcie mi papier i ołówek. Ostatni poemat musi być skończony.

ROZHULANTYNA *do Greena*

Gdzie Izia?

Wstaje, otrzepując się.

GREEN

Sacred blue, jak mówią Francuzi. Gdybym sam to wiedział. Stało się to tak szybko, że nie zdążyłem wydać im rozkazów.

ROZHULANTYNA *nagle wesoło, jakby wszystko jej się w głowie rozjaśniło*

A może to jest jedynym rozwiązaniem! Może tak właśnie trzeba.

MÓZGOWICZ *obojętnie*

A może? Któż to może wiedzieć?

Wchodzi Balantyna Fermor ubrana w kostium do gry w golfa. Rozhulantyna rzuca się na jej spotkanie.

ROZHULANTYNA

Szczęście, żeś przyszła. Czy widzisz, co za katastrofa? Aż mi się śmiać chce z tego, tak jest to dziwne jakieś i nieprawdopodobne.

MÓZGOWICZ *deklamuje. Wszyscy słuchają skamieniali*

Nad zrębem planety,
Pośród gwiazdnej nocy,
Szereg alefów w nieskończoność pełnie.
I nieskończoność unieskończoniona
Zamiera w sobie, przez siebie zdradzona.
Kłęby Tytanów i rogate widma
Sypią gwiazd roje
W wydarte otchłanie.
Myśl w własne wątpia zapuściła szpony
I gryzie siebie w swej własnej otchłani,
Lecz myśl ta czyja? Samo się nie myśli?
Tak jak grzmi samo i samo się błyska.
Punkt się rozprężył w n-wymiarów przestrzeń
I przestrzeń klapła
Jak przekłuty balon.
Dech wyszedł cały. Tak nicość dyszy
Sama własną pustką
I każde coś gnębi w czasie, który stanął.
Hop! Szklanekę piwa!

GREEN

Zaraz, profesorze. Dobrze, że nie słyszą tych wierszy w Em. Si. Dzi. Eu. Wyobrażam sobie, jakie by miny porobili.

MÓZGOWICZ

Pure nonsense, my dear Alfred. Czy nareszcie dostanę piwa? Co za szkoda, że Izia nie usłyszała tego wiersza. *(do Maurycego)* Czy i teraz, idioto, nie uważasz mnie za poetę?

ALFRED *do Maurycego*

Nie mów nic do papusia.

BALANTYNA *do Greena*

Sprowadź więcej ludzi, profesorze. Trzeba go zawieźć zaraz do więzienia. *(Green wychodzi.)* A wy, dzieci, idźcie się przejść. Dzień jest cudowny. Taka wiosna w powietrzu. Puszki zielenią się na drzewach. Widziałam nawet dwa motyle, cytrynki, które zbudzone ciepłem opuściły swe larwy i robiły łamane kółka w przesyconym zapachami powietrzu. Nie wiedzą, nieszczęśliwie, że kwiatów jeszcze nie ma i że czeka je śmierć głodowa.

Twarze chłopców się rozjaśniają. Rozhulantyna całuje ich w głowy.

ROZHULANTYNA

Tak, idźcie przejść się. Masz rację, Balantynko. Ty i ja jesteśmy jak te cytrynki, o których mówiłaś.

MÓZGOWICZ *ironicznie*

A ja jestem ten kwiat, co się nie rozwinał jeszcze. Ale rozwinę się jeszcze. Nie bójcie się.

Chłopcy wychodzą.

JÓZEF

A to ja, proszę łaski Jaśnie Pani, ich odprowadzę.

ROZHULANTYNA

Tak, dobrze. Idźcie, Józefie, a potem przyjdźcie do nas na obiad. Będzie wasza ulubiona kasza. *(Józef wychodzi, nisko się klaniając. Wchodzi Green z czterema tragarzami w błękitnych bluzach, którzy biorą Mózgowicza i wychodzą. Green wychodzi za nimi. Rozhulantyna rzuca się do Balantyny Fermor z nagłym niepokojem. Błagalnie)* Powiedz mi, co to znaczy? Zaklinam cię, nie męcz mnie już dłużej. Na wszystko cię proszę, powiedz mi.

BALANTYNA *uspokajająco*

Po prostu znarowiliście się do pewnych pojęć. Izia ma z was najwięcej prawdziwej intuicji przyszłości.

ROZHULANTYNA *z rozpaczą*

Biedna, biedna Izia!

Wpatruje się z bólem przed siebie.

AKT DRUGI

Rzecz dzieje się na wyspie Timor (Archipelag Sundzki). Brzeg morza. W oddali czerwona skała wyspy Amak Ganong. Na lewo palmy i krzewy pokryte olbrzymimi purpurowymi kwiatami. Na prawo palisada ze strzelnicami i wejście do malajskiego kampongu. Godzina wpół do szóstej rano. Czarna noc. Wschodzi Canopus. Księżyc sierp, jak łódka, końcami do góry zwrócony, ledwie świeci. U wrót palisady dwóch Malajów w czerwonych sarongach i błękitnych turbanach z lancami. Stoją nieruchomo na straży. Na środku sceny dwa leżaki cejlońskie (colombo style) nogami ku widowni. Z kampongu wchodzi Tumor Mózgowicz w białym tropikalnym kostiumie, niosąc prawie na rękę omdlewającą Izie Krzeczorską, również białą ubraną. Malaje prosternują się przed nimi, potem wstają.

MÓZGOWICZ

Tak, więc to bydlę Green zakochał się w tobie. Oni tak zawsze w Em. Si. Dzi. Eu. Rano abstrakcja i czysta wielość jako taka. Od obiadu, gdy już łykną swoje whisky and soda, to mają czas do rana popełnić najdziksze rzeczy. Jakże nienawidzę Europy. Ja, cham, bydlę zupełnie pierwotne, nie mogę znieść już tej mdłej demokracji.

IZIA

Kocham pana. Jesteś teraz księciem prawdziwym, jak z bajki.

Mózgowicz kładzie ją na cejlońskim leżaku, sam rozwala się na drugim, który trzeszczy pod jego ciężarem. Nogi zarzuca na poręczce.

MÓZGOWICZ

Wszystko to jest komedia. Nie mam nic poczucia rzeczywistości, bo nie mam tego we krwi. Udawać władcę tych bydląt! Ten Anak Agong, Syn Nieba, którego pokonałem, ten był władcą naprawdę! A! Marmeladę z niego zrobię! Pekeflejsz! To bydlę lepiej jest urodzone ode mnie. Jego praszczur siedzi na wulkanie, patrz, Izio, o tam, gdzie wznosi się Gunung Malapa.

Wskazuje na widownię. Czerwony blask na chwilę zalewa scenę od strony widowni i słychać huk daleki. Gunung Malapa wybucha.

IZIA

Ty sam wyszedłeś z tego wulkanu. Tajemnica jest niedocieczona. Chciałabym dziś bić Malajów różgami z rattanu. Chciałabym, abyś ty bił mnie, jak prawdziwy władca. A jednocześnie chciałabym cię trzymać w klatce, karmić surowym mięsem i używać tylko tak, jak się używa różnych domowych bydląt. Zostawiać cię na chwilę najwyższej, bestialskiej, okrutnej rozkoszy.

Mózgowicz podrzuca się z wściekłością na leżaku, zgrzyta zębami i porykuje.

MÓZGOWICZ

Milcz! Sam demon nieskończoności rozrywa mój stalowy czerep. Nie prowokuj mnie do czegoś straszego. Nie mogę się tobą nasycić. Jesteś wąta jak kalbion i nikła jak pajęczynka, a męczysz mnie potwornie. Pamiętaj, że mam teraz władzę większą niż wszystkie Greeny.

IZIA

Lubię, jak budzi się w panu hipopotam. Kto lepiej jest urodzony: pan czy pierwszy lepszy hippo?

MÓZGOWICZ *tarza się po leżaku i ryczy*

A! Niech tylko Green dostanie się w moje ręce. Już ja go urządzę: po malajsku, na zimno.

IZIA

Nie potrafi pan. Na to trzeba mieć rasę. Nie zdoła go pan nawet pomęczyć, panie profesorze. Uniesie pana zaraz zwykła szewska pasja, ta, którą tak kocham, której się tak boję i którą tak pogardzam. I to daje mi tę niezwykłą rozkosz ujarzmiania siebie, siebie i całego świata. Chciałabym być jeszcze mniejszą: być moskitem i pić twoją krew przez cieniutką rurkę, należącą do mego ciała, a ty żebyś ryczał z wściekłości.

MÓZGOWICZ *wstaje z leżaka i z zaciśniętymi pięściami zbliża się do Izi*

O! Gdybym mógł cię najprzód zróżniczkować, zbadać każdą nieskończoność twojej przeklętej, rudej krwi, każdy element twojej pachnącej żarem białości, a potem wziąć, stłamsić, zcałkować i nareszcie pojąć, czym jest ta piekielna siła nieuchwytności, która mnie spala, aż do ostatniego włókna mojego chamskiego mięsa.

IZIA

Pamiętaj, że gdybym nie uwiodła Greena, gnąłbyś teraz w więzieniu.

MÓZGOWICZ *nadludzkim wysiłkiem opanowuje się i siada na leżaku profilem do widowni, zwrócony twarzą do Izi. Mówi spokojnie, syczącym głosem.*

Co było między wami? Jak mogłaś jemu oddać to, co było tylko moją własnością.

IZIA

Własność!! I to mówi wielki Mózgowicz, Tumor I, Anak Agong, władca Timoru i adoptowany syn ziejącej ogniem góry. Ordynarna scena zazdrości! (*Mózgowicz ryczy i bije się pięściami po kolanach.*) Stary jesteś. Nudny profesor. Co mnie obchodzą wasze głupie alefy. Twoja własność! Jak ty śmiesz? Żebyś choć był poeta. Darowałabym ci połowę twojej dzikiej siły. To, co Moryś nawet potrafi jednym słowem, ty musisz na to zużyć całe góry zwykłej bydlęcej energii. Własnością czyjąś jest to, co się samemu bierze i trzyma, a nie ochłapy przypadkiem wydarte z Mathematical Office. Moja nieskończoność nie jest symbolem. Jestem jak prawdziwa Astarte. Gdybym przyszła na świat wcześniej, byłabym królową naprawdę, a nie komediantką na jakiejś głupiej wyspie. To tyś mnie oddał Greenowi. Ten matematyczny przyrząd był pierwszym moim kochankiem; nie mogę bowiem uważać za kochanków twoich sześciu synów. Postąpiłeś jak alfons! Szkoda, że Izydora, o którym tyle się teraz u was mówi, nie mogłam mieć w swojej kolekcji.

Mózgowicz wstaje i krzyczy na Malajów. Robi się świt gwałtowny, czerwone chmury przeciągają po niebie. W rannym powiewie palmy chwieją się. W oddali wybucha wulkan. Krwawe błyski oświetlają krajobraz i słychać huk stłumiony. Malaje podbiegają z nastawionymi lancami. Izia leży nieruchomo z zamkniętymi oczami.

MÓZGOWICZ *ryczy*

Bierzcie ją! Klujcie! Kaffiry, psie syny!

Malaje zamierzają się, czekając komendy ostatecznej. Mózgowicz wpatrzony w Izię zastygł w

nieruchomym zachwycie. Jasny blask słońca zalewa nagle sceną i słyhać wrzask tysiąca papug. Mózgowicz pada na kolana przed Izią, która przeciąga się rozkosznie na leżaku, rozchylając usta. Powoli podnosi się, patrząc jasnymi oczami w słoneczne przestrzenie nieba. Malaje padają na kolana.

IZIA

Gdybyś uwierzył sam w siebie. Gdyby ci przeklęty twój mózg, co ci rozpiera twój bawoli łeb, nie przeszkodził uwierzyć, że jesteś naprawdę synem ognistej góry, gdybyś był choć trochę poetą, byłabym twoją na zawsze. Teraz nie wiem. Kto wynalazł to potworne słowo: metafizyczny pępek? Ach, tak, to Alfred, twój pierworodny metys, błękitnobury. To jest wyrazem wszystkiego. Zabiliście prawdziwą piękność życia, a śmierci nie uczyniliście mniej ohydną. Możesz mnie nawet zabić. Wolę lance tych bydląt niż nóż sławnego chirurga. Tylko tobie, twoim mądrym łapom, nie dam się więcej dotknąć mego ciała. *(Papugi krzyczą jak opętane. Przepływa malajska łódź z pomarańczowym prostokątnym żaglem. Mózgowicz przesuwa ręką po łbie.)* Przynieście hełm białemu radży, psie syny. Przepalisz sobie mózgownicę, profesorze.

Malaje biegną do kampongu.

MÓZGOWICZ

Teraz naprawdę diabli mnie biorą. Czuję nienasycenie tak potworne, że mózg mi w kaszę gorącą zamienia. Taką kaszę, jaką jadłem kiedyś w mojej chałupie. To jest właśnie straszne: ta przepaść, która dzieli mnie, cywilizowanego chłopca, od tych dzikich. Małość tej całej komedii. Jestem zwykłym awanturnikiem, a w gruncie rzeczy mdłym demokratą - nic więcej. Wszystkie problemy Tumora, Tumor's Problems, wszystkie funkcje ponadskończzone są absolutnie niczym. *(Malaje przynoszą biały hełm tropikalny i kapelusz Izi i z objawami najgłębszej czci wkładają hełm na głowę Mózgowicza.)* Ale odegram moją rolę do końca. *(do Malajów)* Zawołaj tu Anak Agonga. *(Malaje biegną na lewo.)* Teraz przewycięzę mdłą demokrację definitywnie. Będę najprzód władcą okrutnym i groźnym, a potem zaprowadzę socjalizm zupełny. Niech się zgotują te bydlęta w ich własnym sosie.

Na lewo wśród krzaków zbierają się tłumy Malajów. Widać tylko pierwsze szeregi. W oddali słyhać grzmot i słońce przybiera rudy kolor. Izia pogrążona w marzeniu. Pauza. Dwóch białych w hełmach i khakowych ubraniach wprowadza z lewej strony starego Radżę Patakula. Za nimi idzie dwóch Malajów w czerwonych sarongach i czerwonych turbanach. Radża z siwą brodą ma tylko przepaskę na biodrach. Malaje ustawiają leżak na prawo. Mózgowicz siada na leżaku. Do Izi zbliża się Młody Malaj niezwyklej piękności i szepcze jej coś na ucho.

MÓZGOWICZ do Radży

Patakulo: ja, Tumor I, władca Timoru, syn Nieba i Ognistej Góry *(wulkan krwawo błyska na tle ciemniejącego, burzliwego nieba)*, ja jestem ten, który ma prawo stopić was w jedną miazgę, wysuszyć morze i zgasić tę górę, co mnie porodziła. *(Ciemności burzliwe coraz większe. Błyska się i grzmi coraz silniej. Wskazuje na Radżę)* Wasz dawny władca jest tylko cieniem cienia wobec mojej białej potęgi.

IZIA przerywając rozmowę z Młodym Malajem

Źle deklamujesz, profesorze!

Malaje szepczą między sobą. Mózgowicz miesza się.

JEDEN Z DWÓCH MALAJÓW ZE STRAŻY PRZY KAMPONGU w niebieskim turbanie

Widziałem. On się przed nią ukorzył. Nasze lance zaczarowane nie mogły spaść na jej ciało.

DRUGI MALAJ

To jest nowe bóstwo białych. Ręka z lancą skamieniała mi, gdym chciał ją uderzyć. Biały Radża oddał jej cześć nadziemską.

MÓZGOWICZ *wstaje; ostatnim wysiłkiem stara się opanować. Wyjmuje rewolwer i strzela w starego Radzę, który wali się na ziemię; krzyczy*

Boy! Lemonsquash!! (*pauza; mówi dalej spokojnie*) Ja, Tumor I, władca Timoru, jestem jedynym panem tej ziemi. Bóstwa innego nie ma. (*Młody Malaj, który wyleciał z kampongu, podaje mu na tacy limoniadę; do białych w khakowych strojach*) Dajcie ją tutaj.

Wskazuje na Izię. Izia podchodzi do niego i przez chwilę patrzy sobie w oczy. Straszliwa błyskawica rozświetla krajobraz i grzmot wali się z chmur na ziemię.

IZIA *wybuchu niepowstrzymanym śmiechem*

Tumek! Stary kabotynie. Czyż możesz myśleć, że mnie weźmiesz na taką sztuczkę? Ty stara rozbyczona wydro!

MÓZGOWICZ *z rezygnacją, patrząc na nią z zupełnym poddaniem się*

Jestem bezsilny! Iziu, Iziu, czymże jest cała matematyka i absolutna wiedza wobec jednego kwadratowego centymetra twojej skóry. Och! Gdybym mógł być artystą!

Młody Malaj zbliża się do nich z wężowym uśmiechem.

MŁODY MALAJ

Biały Radžo! Oddaj mi twoje bóstwo! Wulkan się w niej kocha. Odkąd weszła na naszą wyspę, Gunung Malapa drży cały i oddycha ogniem. Od wieków nie był już tak zły. Jestem synem Patakula i prawowiernym panem, i prawnikiem podziemnego ognia. Poślubię ją jak siostrę, a czić będę tak, jak dotąd czciłem naszych bogów w zaświatowej Jedności Bytu.

MÓZGOWICZ *wściekły*

Porozumieli się. Przekłęci arystokraci. Tylko jedna sztuka jest przewycięzeniem problemu rasy. Nie myśl, Iziu, że nie kocham matki twej. Ale dla ciebie tylko spełniłem tę ohydną zbrodnię. (*do Młodego Malaja*) Nie znasz jej, księżę Tengah. To nie jest żadne bóstwo. To jest zwykła znudzona biała koza. Czeka cię straszna kara za splugawienie ognia gór, jeśli weźmiesz ją za żonę.

KSIĄŻĘ TENGAH

To ty jej nie znasz, biały Radžo. Ty patrzysz na wszystko przez twoją okropną mądrość, która zakryła ci prawdziwą piękność duszy, morza i gór. Tyś zabił ojca mego, nie będąc jego wrogiem. Czy może być coś ohydniejszego!

MÓZGOWICZ

Skąd wie o tym ten kolorowy mydłek?

IZIA

Zabiłeś tego starca, aby mnie zaimponować. Mnie! O, jakże pogardzam tobą, biedny belfrze od aktualnej nieskończoności. Płódź dalej twoich wyrodków z moją biedną mamą, którą oszukałeś, ale nie waż się wchodzić do mojej świątyni.

Burza przechodzi stronami. Ciemności rozpraszają się powoli. Znudzeni widowiskiem Malaje rozchodzą się powoli, unosząc trupa Patakula.

MÓZGOWICZ *z rozpaczą*

O, jakież to wszystko pospolite i marne! Nie wiem, czy jestem ultracywilizowanym człowiekiem, czy tylko zwykłym bydlęciem, które udaje bezpiecznego dwunoga. A! Szkoda, że tu nie ma Greena. Tam w Em. Si. Dzi. Eu. mogę jeszcze zrobić wrażenie. Tam mogę im pokazać tę klasę liczb, którą oznaczyłem perskimi cyframi. Ale ilość alfabetów jest skończona. Te liczby, moje własne, nazwę tumorami. Tumor I nie będzie władcą marnej wysepki, będzie pierwszą liczbą tego potwornego szeregu, który wywróci im mózgi jak stare rękawiczki.

IZIA *do Tumora Mózgowicza*

Jednak w pewnym sensie masz coś w sobie wielkiego. (*obejmuje Księcia Tengah*) Ale kocham tylko tego, prawdziwego potomka ognistej góry.

KSIĄŻĘ TENGGAH *w dzikim zachwycie*

Jeśli przez śmierć ojca posiadam miłość bóstwa, bądź błogosławiony, biały Radzo!

Całuje ją w usta. Mózgowicz zrzuca hełm tropikalny i wyciera spocone włosy.

MÓZGOWICZ *z coraz większą rozpaczą*

Co robić, co teraz robić? Nie mam miejsca na świecie. Jestem i nie ma mnie. Nieskończoność wyzarła mi wnętrze. Gdybym mógł choć jeden wierszyk napisać. O! Co za nieludzka męczarnia! (*do Izi*) Czy myślisz, że ten dzikus kocha cię? On widzi w tobie tylko poetkę. Zawróciłaś mu głowę głupimi wierszykami.

IZIA *deklamuje*

W czarnym, bezdusznym żarze
Spocone cielsko dusi mnie i gnębi.
Tak bóstwo nieznane mnie karze
Za czyny świetlistych gołębi.
Gołąbki białe, marzenia dziewczynki
Na mokrej trawie zwałkonione świnki.
Tyś jeden, a ich jest tysiące.
Chciałabym ciało mieć tyle, ile myśli,
A każde ciało by kochanków miało
Tyle, co liczb jest choćby w alef-zero.
O, otchłań niedosiężna słóweczka: dopiero,
O, karki rozbyczone, korzące się i gnące.
Chciałabym czarne, przepalone żądze
W błękitne zawrzeć miesiące.
Zawrzeć na wieki więzienia wrzeczadze,
Które zbudował na bezdrożach świata
Jakiś zwycięski tytaniczny bóg:
Dla chorych diabłów, przewrotnych aniołów
Szpital wariatów, za którego próg
Nie przejdzie mędrzec ani księżę liczb.
Tam już na wieki oddać się czarnemu,
Którego góra zrodziła ognista,
I tam pozostać - biała jako glista,
Pozostać wierną bóstwu nieznanemu.
W przepięknej mały uściskach się miotać,
Słuchając ciszy międzygwiazdnych ech,
Patrzeć na męki i krew czarną żłopać,
W bebechy krwawe puszczać zimny śmiech.
Kwiczeć z rozkoszy i rozkosz tę kopać,
Aż póki nie przyjdzie ostateczny zdech.
I być niewinną i czystą dziewczynką,
Różowy język słodką zwilżać ślinką.

MÓZGOWICZ *opanovał się zupełnie*

Możesz to umieścić w dzieciennym futurystycznym piśmie, które redaguje Moryś. Ale na mnie niestety nie robi to już wrażenia.

IZIA *wydyma pogardliwie usta, uchylając się Księżciu Tengah, który chce ją dalej całować*

Jeszcze coś lepszego ci pokażę. Ten czarny ma jakiś dziwny zapach. Ni to spleśniała bielizna, ni to suszone grzyby. O, jakież życie jest okropne! Czemuż prawdziwi ludzie są tylko dzikimi zwierzętami, czemuż zapach ich jest wstrętny dla naszych zepsutych nozdrzy?

MÓZGOWICZ *śmieje się bestialsko, tryumfująco*

A widzisz, europejska gąsko: kultura zwycięża.

IZIA

To jest twój tryumf. Ten czarny idiota jest wprost wstrętny. Wykręciła mi się sprężynka.

KSIĄŻĘ TENGAH *nie rozumie dobrze, co się dzieje; do Izi*

Co mówisz, córko księżycyca?

MÓZGOWICZ *z ironią*

Ona otwiera ci skarbiec swojej kultury na oścież. Zaraz się dowiesz wszystkiego, synu ojca, którego ukatrupiłem sam nie wiem po co.

IZIA *smutnie*

Niestety, wiesz dobrze. Wszystko się skończyło. Nie wiem, komu oddać resztki dni moich. Ten czarny książę to była moja ostatnia nadzieja.

MÓZGOWICZ *niespokojnie*

A ja?

IZIA

Och, pan, panie profesorze, będzie sobie dalej księciem liczb, alefów, tumorów n-tej klasy i innych tym podobnych stworów. Straciłam to, co mi dawało siłę w stosunku do ciebie, profesorze. Twoja córka zastąpi mnie dla ciebie zupełnie. Taka zdolna dziewczynka!

Tengah patrzy na nich z wzrastającym zdumieniem, nie rozumiejąc nic zupełnie.

MÓZGOWICZ

Wiesz, że i mnie wykręciło się wszystko. Tak mi się zdaje przynajmniej. Dobrze, że nie zwariowałem dotąd. Ciekawy jestem, co by Alfred powiedział, gdyby mógł widzieć moje ostatnie przeżycia. Nie Alfred Green oczywiście, tylko mój pierwородny zatraceniec.

KSIĄŻĘ TENGAH *do Izi*

Jedyna moja, moje bóstwo. Czemu nie widzisz mnie, czemu mnie odpychasz? Czyż twoje białe ciało nie chce być ofiarą podziemnego ognia? Jestem sam jak ognista góra. Chcesz, to cię spalę jednym moim oddechem.

IZIA

Twój oddech nie pachnie siarką, tylko surowym mięsem, książę. Nikt jeszcze nie spalił nikogo przy pomocy surowego mięsa.

MÓZGOWICZ *do Księcia Tengah*

Mówiłem ci, czarnożółty bydlaku, że to jest zwykła biała gąska. Masz teraz prawdę z ust, które całowałaś przed chwilą z najwyższą miłością.

Książę Tengah chwieje się.

KSIĄŻĘ TENGAH *z rozpaczą*

Zdradziłem siebie. Straszliwe są kłamstwa białych, straszliwym jest jad ich dusz, zatrutych mądrością. Słowa ich są bardziej zabójcze niż nasze miecze, a broń ich silniejsza od świętości naszych bóstw. Biały Radzo Nie zabijam cię, bo nie chcę, by twoja podła krew splamiła mój miecz,

przeznaczony dla prawdziwych, godnych mnie wrogów. *(wydobywa kriss z pochwy i przebija się)*
Przeklęta bądź, biała glisto, dla której zdradziłem wszystko, co było mi święte.

Umiera.

IZIA

Nareszcie pozbyłam się tego kolorowego gacha.

MÓZGOWICZ *patrzy na nią z zimnym zachwytem*

Iziu! Jesteś cudowna. Gdyby nie ten szalony upał i nowy pomysł n-tej klasy tumorów, nie wiem, czy nie zakochałbym się w tobie na nowo. Właściwie jesteś jedyną kobietą, która...

Wpada dwóch Malajów w błękitnych turbanach. Padają na twarz przed Izią. Mózgowicz okazuje niezadowolenie.

I MALAJ

Królowo! Łódź przybiła do zatoki Bangaja. Biały wódz idzie tu. Przywieźli nowe bóstwo.

II MALAJ

Większa jest i tłustsza od ciebie. *(sposzrzega leżącego Księcia Tengah)* Lecz cóż to? Nasz wódz martwy, przeбитo własnym krissem.

I MALAJ

Sam sobie śmierć zadał według przepisów przodków swoich.

Obaj korzą się przed trupem; robi się zupełnie jasno i słońce zalewa cały pejzaż.

II MALAJ

Nie mamy już władców. Chyba nowa bogini przywiozła nam kogoś zza mórz dalekich.

Wstają i pozostają w oczekującej pozie. Mózgowicz dobywa lunetę z kieszeni i patrzy między krzewy na lewo.

MÓZGOWICZ *patrząc w lunetę*

Poznaję go. „Prince Arthur”, krążownik I klasy. Wysiedli tylko co na brzeg. Sacred blue, Green wysiada z łodzi. Balantyna Fermor, kapitan Fitz-Gerald i...

Opuszcza lunetę. Izia chwyta lunetę i patrzy.

IZIA *tupie nogami z podniecenia*

Green tu idzie! Green, Green przyjechał! Balantyna! To pociecha dla ciebie, profesorze. Ona cię tak uwielbia.

MÓZGOWICZ

Ale przecie jestem zbrodniarzem. Zabiłem niewinnego człowieka.

IZIA *opuszcza lunetę*

Rzeczywiście! Robić sobie skrupuły z powodu jakiegoś Malaja. Pluń na to! Niech żyją alefy i tumory. Czymże jest śmierć wobec aktualnej nieskończoności?

MÓZGOWICZ

Może masz rację. Nie ma zbrodni. Iluż jest dziś ludzi, którzy tylko dlatego mają pretensje do praw człowieka, że chodzą na dwóch nogach. Jakie jest kryterium dla odróżnienia człowieka od bydłęcia? Dawniej było to wiadomym, dziś, w czasach mdłej demo...

Huk armaty z krążownika przerywa mu dalsze słowa.

IZIA

To Green wałnął na wiwat z dwunastocalówki krążownika. Takeśmy się kiedyś umówili.

Z krzaków wychodzi: Green, Fitz-Gerald, Balantyna Fermor i pięciu ludzi załogi, uzbrojonych od stóp do głów.

GREEN

Hip! hip! hip! Hurah! Mózgowicz żyje! Brać go, chłopcy! Kapitanie, daj rozkaz. Bierzemy kraj ten w nasze posiadanie. *(Ludzie załogi rzucają się na Mózgowicza i krępują go linami. Izia śmieje się, zażenowana bardzo. Do Izi)* Pani! Jesteś cudowną kobietą. My, matematycy, umiemy cenić dziwność życia. Wszystko jedno, co było. Przeszłość twoja nie istnieje. Istnieje tylko nauka, dla której można poświęcić wszystko, nawet honor męski. *(do Balantyny)* Miss Fermor, Right Honourable Miss Fermor, proszę poświadczyć wiarogodność moich słów. Kocham pannę Krzeczorską, wyrzekam się wszelkich tajnych sprawek Em. Si. Dzi. Eu. Powtórz, pani, te słowa jedynej kobiecie, która godna jest nosić moje nazwisko, a może i tytuł, o ile Bóg miłosierny (matematyka a religia to dwie zupełnie różne strony tej samej rzeczy) pozwoli mi żyć dłużej niż moi kuzyni.

BALANTYNA

Iziu! Jestem tu w imieniu twej matki. *(do Mózgowicza, który leży skrepowany na ziemi)* A propos! Rozhulantyna spłodziła nareszcie Izydora. Cudowny chłopak. Oczy ma prawie na nosie, jak wszyscy Baar-Łukowicze. Urodzony matematyk.

MÓZGOWICZ *radośnie*

O, jakże wdzięczny wam jestem, żeście mi odebrali moją wolę. Jestem zatruty własną siłą. Po prostu za dużo mam woli i dlatego nie mogę mieć żadnej decyzji. Nieskończoność zaktualizowana w dowolności zupełnej. Och, co za rozkosz jest być uwięzionym. Iziu! W imieniu matki jako ojczym daję ci zupełną wolną wolę. Green! Stary draniu! Masz najładniejszą dziewczynkę na świecie. Ona cię kocha...

BALANTYNA *przerywa mu*

A w dodatku nie ma żadnego mezaliansu. Alfred jest Green of Greenfield. Jest piątym synem markiza of Fifth Maske-Tower. Oby żyli wiecznie jego bracia, ale gdy umrą, będzie parem i najbogatszym człowiekiem w Anglii.

MÓZGOWICZ *z wściekłością*

Psia krew! Tego nie wiedziałem. Dogs blood! Czemu ja nie jestem niczym podobnym. Z tego punktu wszystko można zlekceważyć.

GREEN

Jesteś Mózgowicz. Tout simplement Mózgowicz. Oddałbym ci, mistrzu, dziesięć tytułów za to piekielne nazwisko, którego nawet wymówić nie potrafię.

BALANTYNA

Prawda? Jest w tym nazwisku coś jakby zapach prasłowiańskich lasów, ulów pszczół dzikich, rozgrzanych słońcem na kwiecistych polanach, rzek i jezior pełnych złotych ryb i wodnych duchów. Och, jakie to piękne. Nieście go na okręt. Izydor go czeka. Izydor macha tłustymi rączkami i woła niemym językiem ojca, którego już uwielbia. *(sposstrzega trupy Anak Agongów)* Wielkie nieba! Mózgowicz narznął tu Malajów jak kapusty.

IZIA *w objęciach Greena*

Zupełnie przypadkiem stał się tu wypadek. Ten młody czarny zginął przez miłość do mnie. Ten stary chciał zabić profesora. Zastrzeliłam go jak psa. Cóż robić. Każdy się ratuje, jak może.

GREEN *nie panując nad sobą*

Jakże cię kocham, Iziu! Jak można... Tak krótko, tak mało... A potem takie rozstanie. Och, jakże cię kocham.

BALANTYNA *do majtków*

Bierzcie go, chłopcy! A trzymajcie go zdrowo. Bo to największy mózg cywilizowanego świata. Trochę zboczony, bo wszystko, co wielkie, musi być zboczonym i perwersja jest dziś po prostu synonimem wielkości.

Majtkowie biorą Mózgowicza i wychodzą z Fitz-Geraldem i Balantyną. Green zatyka kolek z angielską flagą.

IZIA

A jednak żal mi czegoś. Sama nie wiem czego. Zostanie tylko sen. Wspomnienie niebytych nigdy wypadków. *(z nagłą decyzją)* Green - muszę ci powiedzieć wszystko: zdradziłam cię z Tumorem.

Green zwija się w kłębek z bólu i zazdrości i w tejże chwili rozpręża się w dzikim pożądaniu.

GREEN *rzucając się bezwładnie na Izię*

Kocham cię, kocham cię! Milcz! Są chwile tylko, a wszystko jest złudzeniem w nieskończonych nieskończonościach bytu.

IZIA *poddaje mu się obojętnie*

A tak było ładnie, tak dziwnie! Jaka szkoda, jaka szkoda...

Green niesie ją omdlałą na lewo, w kwieciste krzewy.

AKT TRZECI

Ten sam pokój co w akcie I. Rozhulantyna Krzeczberska secundo voto Mózgowiczowa, ubrana jak w akcie I, chodzi z małym dzieckiem na rękach nucąc: aa, a, kotki dwa, szare, bure obydwaj.

ROZHULANTYNA

Aa, a, kotki dwa,
Szare, bure obydwaj.
Aa, a, kotki trzy,
Zjadły mózgi szare wszy.
Aa, a, kotki cztery,
Poszedł papa do hetery.
Aa, a, kotków pięć,
Mama czuje dziwną chęć.
Aa, a, kotków sześć,
Nieskończoność w szklancemieść.
Aa, a, kotków siedm,
Papa rzekł: I love you, madam.
Aa, a, panter osiem,
Mama rzekła...

Wchodzi Mózgowicz.

MÓZGOWICZ

Jakże się ma Izidor?

ROZHULANTYNA

Izidor ma się dobrze, ale ty, ojcie Mózgowcze, jak się czujecie w naszym zwykłym, codziennym życiu?

MÓZGOWICZ

Nie wiem, jak zawrócić z tej drogi cnoty. To jest ważniejsze, jak ty się patrzysz na to, że Izia wychodzi za Greena?

ROZHULANTYNA

Wiesz, że jestem wolna od rodowych przesądów. Gdy wszyscy trzej jego bracia umrą, Izia zrobi świetną partię.

MÓZGOWICZ

Ty nie masz pojęcia, czym to jest dla mnie. *(wskazuje na Izydora)* To jest moje ostatnie dziecko z tobą. Izydor ma coś w twarzy, co mi uniemożliwia zupełnie chęć płodzenia dalszych Mózgowiczów z tobą. *(z nagłą decyzją)* Dziś podałem się do rozwodu i dziś jeszcze oświadczę się o rękę Miss Fermor.

ROZHULANTYNA *obojętnie*

Nie chcę nic. Siedmiu synów starczy. Wszystko jest już poza mną. I miłość chamska, i wszystkie duchowe perwersje. Uszlachetniłam ród Mózgowiczów. Alfred może starać się o córkę lorda. Nikt mu nie odmówi.

MÓZGOWICZ

Zapominasz, że ja się mogę starać o córkę lorda, a nawet być przyjętym. Żyłem sam zatopiony w moich rachunkach. Spłodziłem nowy świat. Cantor, Georg Cantor, jest małym dzieckiem wobec moich definicji nieskończoności, a Frege i Russell są marnym przelewaniem greckiej pustki w pustkę naszych czasów, z ich definicją liczby, wobec tego, co wymyśliłem dziś rano...

ROZHULANTYNA *nie przestaje niańczyć ciamkacza*

Ohydny kompromis. Mówił mi o tym Alfred...

MÓZGOWICZ

Zabiję to pierworodne ścierwo! On nic nie wie. On chce demaskować to, czego nie pojął. Czyż nie rozumiesz tego, że pewne mózgi nie są w stanie pojąć pewnych rzeczy. Moja logika jest nie do przewyciężenia. Tylko ująć w jedno ten szereg rozumowań, na to trzeba łba zaiste przedniego. Ja, ja tylko jeden mam tę siłę. Oni to czują i dlatego boją się.

Wchodzi Green z Izią.

GREEN

Profesorze! Twoja teoria zwycięża. Miałem dziś biuletyn z Em. Si. Dzi. Eu. Nawet Whitehead zachwiał się.

MÓZGOWICZ

Oni przyjmują tylko to, co podpada pod już stworzone kategorie. Samemu pojęciu logiki nadaliśmy inne znaczenie, my: Mózgowicz. Tego nie wytrzymają te półgłówki.

GREEN

A jeśli zwyciężysz, profesorze? Co wtedy? Co począć z całą mechaniką, co począć z budową maszyn, czym zastąpić prawo ciężenia? Pierwszy przykład naszych czasów, żeby dedukcja czysta zwała światopogląd mający kilkaset lat za sobą.

MÓZGOWICZ

Czy myślisz, że ja mówię rzeczy ostateczne? Czy możesz myśleć, że ja mogę wobec takich półgłówek, jak ty i twoi koledzy z Em. Si. Dzi. Eu., powiedzieć prawdę?

IZIA

O, jakże jestem szczęśliwa, że choć dwa miesiące kochał się we mnie taki geniusz.

GREEN *do Izi*

Przestań, głupia kuro! (*do Mózgowicza*) Profesorze! Powiedz mnie jednemu. Powiedz mi, jakim sposobem osiągnąłeś wzór na n-tą klasę liczb? Powiedz, czym jest tumor-jeden?

MÓZGOWICZ

Jesteś głupi jak but. Powiem ci i w sekundę zapomnisz. Na to trzeba naprawdę mózgu tytana. Czy myślisz, że wszystko naprawdę jest krzywe i wszystko naprawdę jest współczesne? To są elementarne pytania z transcendentalnej dynamiki, której zastosowaniem dziecinnym wprost jest moja teoria.

GREEN

Powiedz tylko definicję słówka „naprawdę”, profesorze. Nic więcej. Powiedz, jak definiujesz „albo” i „oprócz”, te dwa słowa tylko.

Pada przed Mózgowiczem na kolana.

MÓZGOWICZ *ponuro*

Pośmiertne wydanie moich dzieł obejmie i ten problemat. Tymczasem mogę ci tylko powiedzieć tyle: ty albo ja. Izia, ta nędzna Izia, której jesteś niewolnikiem i która zdradza cię ze wszystkimi „stewardami” podczas oficjalnych wycieczek, nie mówiąc już o członkach Em. Si. Dżi. Eu., jest wykładnikiem mojej ostatniej myśli. Poznaj ją dobrze, przysły markizie of Fifth Maske-Tower. W niej jest tajemnica tożsamości dwóch słówek: „albo” i „oprócz”. Poznałem to w tej chwili, gdy zabijałem starego Patakula.

GREEN *na kolanach*

Mów! Zdaje się, że zaczynam rozumieć.

MÓZGOWICZ

Czy myślisz, że ja to rozumiem? Moje ostatnie myśli będą tak trudne, jak są trudne do odcyfrowania egipskie głązy z figurkami. Ale czy znajdzie się taki Champollion logiki, tej siły mózgu człowiek, który odcyfruje te myśli i zamieni je w symbolizm zrozumiały dla wszystkich?

GREEN

Ja nim będę.

MÓZGOWICZ

Ty, poczciwy idioto? (*śmieje się dziko*) Ty, który nie masz żądy prawdy, tylko marzysz o wszechświatowym matematycznym szantażu!

Rozhulantyna niańczy z coraz większą pasją Izydora.

ROZHULANTYNA

Oni to rozstrzygną. Nasze dzieci. W nich jest cała przyszłość.

MÓZGOWICZ

Mylisz się, dziecko. Następne pokolenie musi z tego zrezygnować. To tylko my, kulturalne chamy, mamy tę dziką siłę. Za lat dwadzieścia chamów o mózgach bawołu, a tak subtelnych jak odczucia historycznej księżniczki, nie będzie już wcale. Do tego dąży cała nasza zachodnia demokracja. To jest to, czemu sprzeciwia się wspaniały ruch zniszczenia, któremu oddaje się Wschód.

GREEN *wstając*

Tumor Mózgowicz -jako zwykły wszechświatowy maniak państwowego socjalizmu. Co za upadek!

MÓZGOWICZ

Mylisz się, idioto! Cofnięcie kultury. Oto, czego mnie nauczyło władanie wyspą Timor. Wiesz, że zamordowałem tam człowieka, a drugi przeze mnie sam skołał dobrowolnie. Czy wiesz, czym to było dla mnie?

Izia pada przed nim na kolana.

IZIA

Tumorze! Jesteś jedynym wielkim człowiekiem, jakiego znałam.

ROZHULANTYNA

Wstydz się, Iziu! Przy matce.

MÓZGOWICZ *do żony*

Twój najukochańszy Izydor będzie stworem, którego wstydz się będą wszyscy jego przodkowie: bydlęca rasa Mózgowiczów na równi z mongolskimi chanami, z samym Wielkim Dzyngisem na czele. Precz mi z oczu, przeklęta suko! Ja jestem panem świata!!

ROZHULANTYNA

Ach, więc tak? Więc wszystko, co zrobiłam, jest na nic? Więc ja mam być kopaną jeszcze za moje upokorzenie? Więc ty śmiesz obrażać to, co jest we mnie najświętsze? Masz! Podwójny komediancie!

Rzuca się do okna na prawo i wyrzuca przez nie Izydora Mózgowicza w pieluchach, po czym staje zwrócona twarzą do widowni z wyrazem zupełnego obłądu. Chwilę trwa straszne napięcie jej twarzy w wyrazie zwierzęcego bólu. Po czym pada na ziemię i wyje dziko, jak wilczyca.

GREEN

Ależ, pani profesorowo! Tak nie można. To jest zupełna dzicz.

IZIA

Mamo! Nawet ja, ja lubię rzeczy potworne, ale to; och, ja tego nie wytrzymam!

Zanosi się od płaczu.

MÓZGOWICZ

A ja jestem zupełnie obojętny. Przecięta została pępowina, która łączyła mnie z dziećmi. Jeszcze jedna zbrodnia staje się przeze mnie.

GREEN

Uwielbiam cię, profesorze. Jesteś tytanem. Mimowolny wspaniały czyn!! Czyż może być coś rozkoszniejszego!

IZIA do Greena

Ach, więc ty jesteś tak słabym, Alfredzie? Ty możesz korzyć się przed tą starą kukłą? Byłam świadkiem jego zbrodni. Pożal się Boże. Mimowolne zbrodnie życiowego niedołęgi. Zakamary duszy ukazane w świetle ponadskończonej etyki. On ma sumienie, ten zgalaretowany potwór. On cierpi przy tym. Czyż tego nie widzisz, Alfredzie? Czyż jest coś podlejszego nad wyrzut sumienia?

GREEN

Tego, przyznaję się, nie miałem nigdy. Po najstraszniejszych orgiach w Em. Si. Dzi. Eu. czułem się doskonale. Zabijaliśmy małe dziewczynki z plebsu w sposób niesłychanie okrutny...

ROZHULANTYNA *zakrywając mu usta rękami*

Ty przebrzydły paskudniku! To ty wywołałeś tę ohydłą rozmowę. Przez ciebie zabiłam biednego Izydora...

Wchodzi Józef Mózgowicz z gazetą w ręku. Za nim dwóch tragarzy w niebieskich fartuchach wnosi pokrwawione pieluchy ze zmiądzonym Izydorem Mózgowiczem.

JÓZEF MÓZGOWICZ

Dopraszam się łaski. A to przecie o moim syneczku piszą tak w gazetach. Bohater! Myśliciel! Geniusz myśli i geniusz czynu. A gdzie to ta wyspa? A czy to prawda, że on ogłosił się synem góry ognistej? Oj, syneczku, źle, żeś się zaparł twego prawowitego ojca, i kara cię nie minie.

MÓZGOWICZ *zawstydzony bardzo*

Bo papa, bo ojciec, (*jąka się*) bo, do stu tysięcy diabłów, precz z tym szpargałem!

Wyrywa mu gazetę i ciska o ścianę. Wchodzi Irena Mózgowiczówna w czarnej sukience.

IRENA

Ojcze! ja cię wyzwolę z tych ostatnich więzów. Nie chcę żadnej miłości. Ja wiem wszystko.

MÓZGOWICZ *wzruszony do głębi*

Zapomniałem, że mam jeszcze córkę. Irenko! Ty jedna przy mnie zostaniesz.

IRENA *obejmuje go mocno i całuje w czoło z niezmierną czułością*

Tak, ojcze! Porzuć tę okropną robotę. Możesz ogłosić to po śmierci. Ja wiem. Alfred nie rozumie nic. On cię tylko podgląda. On jest bardzo zdolny, ale tylko do pewnej granicy. Ja znam go dobrze. Ja mu dałam podstawy teorii czystej wielości, (*do Greena*) Green! Jak pan śmiesz zaprzętać ten wielki umysł całą tą baliwernią? Czy wyście powariowali wszyscy w tym waszym przeklętym Em. Si. Dzi. Eu.?

GREEN *klania się uniżenie*

Ja wiem też dość wiele. Pani jest bardzo zdolna, panno Ireno, ale pani nie wie, że on stworzył klasę liczb oznaczonych perskimi znakami i teraz ma sformułować dowód, że liczność pewnej wielości jest wyższa od wszystkich, jemu tylko i szatanowi znanych, wielości. Nawet ośmielił się nazwać to: jest to tumor-jeden.

Irena ze zgrozą spogląda na ojca, po czym bierze z rąk tragarzy pokrwawione pieluchy i przyciska je do piersi.

IRENA

Biedny, biedny Izydor!

JÓZEF MÓZGOWICZ

Nawet dziecku biednemu nie darowali, psie pary.

IRENA *do Józefa*

Dziadziu! Chodźmy stąd. Tu wprost nie można oddychać. Jakże strasznie zazdroścę Leibnizowi. On był takie dziecko jak ten biedny trupek.

Bierze Józefa pod rękę i wychodzi, trzymając pieluchy pod lewą pachą; za nimi wychodzą tragarze. Rozhulantyna odzyskuje równowagę ducha i poprawia sobie suknię. Powoli z matki i wilczycy staje się znów kochanką.

ROZHULANTYNA

Teraz cię przesilili, ojcze Mózgowcze. Teraz już chyba nie dasz rady. Nawet Ira cię opuściła i rodzony papo-człowiek zwiął jak kamfora.

GREEN

Ja jeszcze jestem. Ja z nim zostanę.

MÓZGOWICZ

Ty nędzny krabie, ty podpatrywaczu niepojętych myśli, ty psychiczny utrzymanku zwyrodniałej dziurki! Wołę pójść na wygnanie i służyć za żer Diakoni z wyspy Timor niż tobie zawierzyć myśl choć jedną. On myśli, że wie coś, bo wymówił wyraz: tumor-jeden. To nie są zakłęcia dla zdobycia skarbu, na to trzeba mieć głowę na kręgosłupie, a nie klatkę na różnokolorowe ptaszki. Ty zakuty myślowy gałganiarzu! Ty pudermantlu, ty lokaju skurtyzaniłej nieskończoności!

Nagle słabnie i siada na ziemi. Wchodzi Balantyna Fermor w różowej sukni i olbrzymim kapeluszu z czarnym, kolosalnym piórem. Rozhulantyna rzuca się do niej.

ROZHULANTYNA

Balantynko! zabiłam Izydora! Czy ty rozumiesz, co się stało? Biedny, mały Izydor rozbity na bruku przeze mnie. To on mnie do tego zmusił! Ten potwór, ten cham - Mózgowicz.

BALANTYNA *spokojnie*

Ani cię nie zmusił, ani ty nie zabiłaś Izydora. Dawno już, prawie od urodzenia, widziałam w nim straszne skłonności. A nade wszystko skłonność do ohydnych chorób. Mówił mi o tym Józef. Pocziwy stary. Bardzo przejęty jest swoją rolą.

IZIA *która dotąd pilnie porządkowała zabawki*

Ta musi zepsuć każdą najskromniejszą nawet potworność. Wszystko dla niej jest jasne i proste jak równania całkowite. To dobre dla Ireny. Mówię wam, że ona wróci tu za chwilę.

GREEN

Przestań, ach, przestań. Zdaje mi się, że burza duchów przelatuje mi przez głowę. Tonącym w morzu śmierci za życia nie odmawia się ostatnich życzeń. Izium! Czuję, że mi się wymykasz. Tak śliska jest twoja mała duszyczka jak gromada ślizieni.

IZIA

Muszę ci odmówić ujęcia we mnie tego, co jest czystą igraszką słów. Stworzyłam taki mały światek z okrucich różnych słówek, niebacznie przez was mówionych. Taki malutki światek, ale za to tak bardzo mój.

BALANTYNA *z ironią*

Ach, jakie to wzruszające. Nie mów tak dalej, bo czuję, że łzy mi stają w oczach.

Wchodzi Alfred i Maurycy Mózgowiczowie. Mózgowicz wstaje z ziemi.

ALFRED *wyciągając gazetę z kieszeni*

Słuchajcie! I ty, mamo. Tylko błagam cię, wytrzymaj tę wiadomość...

ROZHULANTYNA *blagalnie do Alfreda*

Oszczędź mnie... Już nie mogę.

IZIA *stara się ją uspokoić*

Mateczko. Nic już się stać nie może. To był sen. Weźmiemy cię do nas z Alfredem. Green! Prawda? Nie odmówisz mi tego?

GREEN *zimno*

Pod pewnymi warunkami.

ALFRED *czyta*

Tytuł jest: „Potworny kompromis. Znany filar współczesnej matematycznej wiedzy, sir Tumor Mózgowicz, niedawno mianowany dziedzicznym baronetem Queenslandu, zdobywca wyspy Timor

i twórca nowej konstytucji Malajów w III dystrykcie morskim, padł ofiarą swojej własnej słabości..."

MÓZGOWICZ *ponuro*

To pisał Green. Przypomnijcie sobie, co mówił tu przed chwilą. Leżał przede mną na brzuchu jak przed posągiem Izidy. Czyż nie jest to ohydne świństwo?

MAURYCY

Papuś, papuś! Słuchaj dalej.

ALFRED *czyta*

„...której wyrazem jest ostatnia teoria, ogłoszona w organie Em. Si. Dzi. Eu. Unity and Diversity. Teoria ta dotyczy znanego już tworzenia dowolnej klasy liczb...”

ROZHULANTYNA

Green! Jak mogłeś coś podobnego uczynić!

Wbiega Irena.

IRENA

Kłamstwo, potworne kłamstwo! On chce go wypróbować. On podmówił Alfreda. Ja wiem wszystko. Tylko co zdradził was Józio. Ma gorączkę i opowiedział mi wszystko. Green jest, podły. Użył Izi, aby wyrzeć wpływ na Alfreda.

MÓZGOWICZ

Przecież to jest drukowane. Wiem, co będzie dalej. Aby uniemożliwić mi działanie, przedstawiono mnie jako człowieka rezygnującego z nieskończonego szeregu klas liczbowych. Chcę postawić granicę klas. Ogólnego dowodu jeszcze nie mam. Ale liczność tzw. tumor-jeden jest najwyższą liczebnością, jaka być może. Szeregu tumorów nie stworzy nikt, nawet umysł nad-skończony, umysł samego Boga.

IRENA *pada przed ojcem na kolana*

Papusi! Ja nie chcę o tym słyszeć. Coście wy zrobili z Nieskończoności!

MÓZGOWICZ

A więc i ty jesteś przeciw mnie. Nie ma już Mózgów na świecie. Myślałem, że córka, jedna moja biedna Irusia, mnie uzna. Nie - widocznie wszystkie męki muszę przeżyć do końca.

Siada na ziemi. Przez chwilę bawi się klockami, po czym zaczyna okropnie, rozpaczliwie płakać. Prawie wyje w histerycznych łkaniach. Wszyscy stoją skamienieli ze zgrozy i bóleści.

IZIA *obejmuje Mózgowicza, Green załamuje ręce z rozpachy*

Teraz cię kocham naprawdę. Chciałam tylko raz widzieć twoją słabość. Minęły czasy ujarzmiania siłą demonicznych kobiet. Jestem demonem! (*zrywa się i płomienistym wzrokiem przeszywa obecnych, a nawet nieobecnych*) Jestem kapłanką Izidy. To ja tańczyłam naga ze słonecznikiem na czole. To ja ukorzyłam lorda Persville, największego demona z Em. Si. Dzi. Eu. Green! Nędzny flaku, czterdzieści pięć razy zdradzony: lord Persville, twórca geometrii, którą tylko w funkcjach przerywanych, ponadskończonych, analitycznie przedstawić można, wił się u nóg moich jak zdeptany robak. Ja nie spałam nocami. Pracowałam jak czterdzieści wołów parowych. Tumorze! Ja udawałam niewiedzę, aby raz ujrzeć twoją słabość. Wiem wszystko! Znam teorię zmiennych w sposób ciągły liczebności! (*Green wije się w okropnych cierpieniach. Izia znowu obejmuje Tumora*) Ja jedna go kocham naprawdę. Nie wiecie, co przeszłam.

IRENA

Podła!

GREEN *wyje dziko*

A! Gadzina!!!

ALFRED

A ja! Ojczy, uczyłeś mnie fałszywej matematyki. Ta futurystyczna dziełatka więcej wie ode mnie.

MAURYCY

Iziu! Więc twoje wiersze są skłamane! Och, ja tego nie przeżyję.

*Balantyna patrzy na to z lodowatym spokojem, trzymając w rękach szlochającą Rozhulantynę.
Maurycy pada na ziemię i płacze niepowstrzymanie*

MÓZGOWICZ *odpycha nagłym ruchem Izie, która wali się na ziemię obok płaczącego
Maurycego; wstając, mówi do Izi*

Precz ode mnie! Nie znam cię i nienawidzę. Myślałaś, że mnie tym upodlisz, mnie, ojca siedmiu synów i niesłychanej ilości córek? Precz, małpo!

ROZHULANTYNA *przestaje płakać i nagle zanosi się dzikim śmiechem tryumfu*

Dobrze jej tak. Niech zginie przeklęty ród Krzeczbońskich.

MÓZGOWICZ *stoi jak zraniony tur, który nie może upaść przez ambicję tylko*

Jestem sam zupełnie. Skąd mam tę siłę, nikt się z was nie dowie, a i ja sam niewiele więcej wiem od was.

ROZHULANTYNA

Nie będziesz moim, nie bądź niczym. Ojczy Mózgowczy: jesteś naprawdę wielkim.

ALFRED *z rozpaczą*

I ja tyle czasu uczyłem się fałszów! Cały mój egzamin z transcendentalnej dynamiki jest podłą farsą. Ale któż są ci zbrodniarze w Akademii? Któż są ci, *(wskazuje na Greena)* któż są te kanalie z Em. Si. Dżi. Eu.? Takich potworów nie nosiła jeszcze ziemia na sobie. Och, gdybym mógł wydrzeć mózg mój z czaszki, gdybym mógł na nowo to zrozumieć!

Maurycy uspokaja Izie, która podnosi się z uśmiechem.

MAURYCY *wstając razem z nią*

Będziemy pisać razem wiersze. Wszystko da się jeszcze odrobić.

IZIA

Moryś, ratuj mnie. Ty jeden możesz. Tylko czy to nie będzie powtórzeniem wszystkiego, co już było raz kiedyś?

MAURYCY

Nie, Iziu. Pamiętasz naszą rozmowę na zielonej kanapce wczoraj? Pamiętasz, coś mi powiedziała?

IZIA

Że nieskończoność jest to wywrócona do góry dnem osobowość. To były pojęcia twego ojca. Ja muszę to stworzyć w formie czystej.

MAURYCY *obejmując ją*

Razem to stworzymy. To jest przeciwwaga dla intelektualnego obłądu. Stworzymy ślicznego, szarego ptaszka, który uleci w Nicość. Bez żadnych tęczy i kolorów. Rozumiesz? Ja wiem na to sposób.

MÓZGOWICZ *zimno*

Sztuczne uproszczenie.

IZIA

Nieprawda! Nie wolno panu mówić o sztuce. Ja wierzę w geniusz Morysia.

MÓZGOWICZ *wyjmuje notatnik i coś zapisuje*

Mogę nie mówić o niczym. Ach! Jak sobie przypominę, że mogłem pisać wiersze, zimno mi się robi ze wstydu. Jutro jeszcze ożenię się z Balantyną Fermor i wyjeżdżamy do Australii.

Green, który bazyliżkowym wzrokiem obserwował Izię i Morysia, nagle podchodzi do Rozhulantyny.

GREEN

Pani! mam dziwne przeczucie, że okręt, którym jadą moi bracia na wojnę, zatonię dziś w nocy. Chcesz pani zaraz zostać markizą of Fifth Maske-Tower - dobrze. Nie - możemy poczekać.

ROZHULANTYNA

Ależ, panie Alfredzie. Tak zaraz nie można.

GREEN

Dobrze, możemy poczekać. Ale business jest zrobiony. *(do Mózgowicza)* Panie profesorze! Zapomnijmy o wszystkim. Mogę cię uwięzić zaraz. Ale wierzę, że po tym wszystkim będziesz pan rozsądnym. Tylko pośmiertne wydanie będzie zawierać dowody ostateczne. Przez powolną dyskusję ludziska oswoją się nareszcie z tym problemem. *(smutnie)* I ja również, mam nadzieję.

MÓZGOWICZ

Stop that nonsense, Alfred. Jesteś wcale inteligentnym chłopcem. Lepiej powiedz, kiedy odchodzi „Eurypides” z Green Star Line i zamów kabinę na dwie osoby. Umówiłem się z maharadżą Pendżaru na pokera na statku.

GREEN

Widzę, że czas stanął dla pana, panie profesorze, naprawdę. „Eurypides” odszedł dwa tygodnie temu. Dziś odchodzi „Eurigona”, a Pendżar jedzie za dwa tygodnie na „Euripontesie”. To jest „materiał fakt”. Cieszę się, że Europa odetchnie trochę. Zamówić więc kabinę?

MÓZGOWICZ *do Balantyny*

Zgadzasz się za dwa tygodnie?

BALANTYNA *pręży się w oczekiwaniu nieznaną rozkoszy*

Naturalnie. Z tobą, Tumorze, nawet te dwa tygodnie w Europie będą nadludzką rozkoszą. Ale pozwól, że oddam ci się definitywnie na statku dopiero. Chcę, aby wróciły dawne nastroje. Fitz-Gerald starał się przeciwieństwo o mnie. Razem z nim widziałam pierwszy raz Krzyż Południowy i hiperśłońce, straszliwego Canopusa. Kiedy wzejdzie po raz pierwszy Canopus, będę twoją. Jakże długo męczyłam się dziewictwem! Tylko sport uratował mnie od Persville'a. Czy wiesz, że ten demon jak małe dziecko błagał mnie o litość?

Green szepce z Rozhulantyną.

MÓZGOWICZ *do Balantyny*

Teraz nic mnie to już nie obchodzi. Na szczęście nie wiesz nic o matematyce. Będziesz moim ostatnim kompresem na głowę, na moją starą, biedną mózgownicę. Ale kochać cię będę jak młodzieniec, jak rozszalały chłopczyk.

Balantyna opiera się o niego z uśmiechem; oboje stoją jak posągi.

GREEN

Wychowamy ci synów na zdrowych, tęgich matematyków, profesorze. Jeden Moryś się nie udał. Ale to jest właśnie rodzaj ekspiacji.

IZIA

Morysia ja biorę na siebie. Takiego dekadenta nie było jeszcze na żadnej planecie. W przypadkowości sztuki on utożsamia wszystkie absolutne wartości w malutkim, zamkniętym w sobie kółku.

ALFRED

Ojczy, przebaczam ci wszystko. Bądź szczęśliwy. Znajdę sobie jakąś przyzwoitą panienkę i zaczną nowe życie.

Mózgowicz nagle łapie się za serce

MÓZGOWICZ *niespokojnie*

Tak mi dziwnie pusto w piersiach, *(krzyczy)* Patakulo! Nie patrz tak na mnie!

Pada jakby rażony gromem. Balantyna wydaje dziki okrzyk trwogi. Wszyscy rzucają się do Mózgowicza a. Green bada mu puls. Wstaje. Wszyscy czekają w straszliwym napięciu.

GREEN

Nie żyje. Ostatni dowód nie będzie więc znany nikomu.

BALANTYNA *rzuca się na trupa Mózgowicza z dzikim śmiechem. Inni stoją jak wkopani w ziemię*

I oto spełnił się mój dziewiczy sen. Idźcie na spacer, dzieci. Taka wiosna jest jak wtedy. Zielenią się puszki na młodych gałązkach i ciepło przenika spłowiały błękit i pajęczne chmurki na niebie. Idźcie i mnie zostawcie z nim samą. *(Śmieje się łagodnie i cicho. Green podaje rękę Rozhulantynie, Moryś Izi, Alfred obejmuje zmarwiałą z bólu Irenę i tak po kolei wychodzą w milczeniu przez drzwi środkowe. Balantyna nagle wstaje i rozpręża się rozkosznie)* Nikt nie wie tego, że ja również zajmowałam się matematyką tylko i znam wszystkie problemy Tumora. *(Drzwi na lewo otwierają się i wchodzi Persville. Podchodzi do Balantyny.)* Arthur! Arthur! Moje szczęście, moje życie, moje wszystko!

Balantyna obejmuje go w dzikim szale.

PERSYILLE *zimno*

Teraz jesteś moją. Jedziemy do Australii. W tej chwili telefonowałem. Jestem mianowany gościnnym profesorem w Port-Peery. Teraz zastosujemy jego teorię do mojej geometrii i stworzymy prawdziwą transcendentálną dynamikę. Nie tę, którą zajmują się w Akademii i z której dwa razy obcinał się już Alfred. Prawdziwą, kochanko, prawdziwą.

Balantyna śmieje się rozkosznie, nieprzytomna zupełnie.

Kurtyna

KONIEC AKTU TRZECIEGO I OSTATNIEGO